

Do tych, co żyją!

Umarłem!

Nowy granatowy garnitur, w którym nie zdążyłem się „nachodzić”, mocno podkreślał bladłość twarzy. Wokół miałem kwiaty. Drogie kwiaty. Wszyscy, którzy przyszli oddać mi — jak to się mówi — ostatnią przysługę, mieli oblicze pełne powagi, nieukrywanego smutku, zafroskania. Składali na brzuchu splecione dłonie i patrzyli. Patrzyli i myśleli. Był i nie ma go! Później szeptał między sobą na ucho.

Nawet szef się zjawił. Popatrzył chwilę, ujął za łokieć swego zastępcę i nachylił mu się do ucha. „Mam wyrzuty sumienia, panie kolego! Pracowałem, biedaczysko, u nas i nie wiedzieliśmy nawet, jakie ma nędzne mieszkanie — tu rozejrzał się po szpitalnym suficie, spojrzął na piec, zniżył wzrokiem dłu gość podłogowych desek i pokłamał głową. — Mam wyrzuty sumienia! Przecież ja mu dobrego słowa nie powiedziałem. Ostatnio spóźnił się pięć minut, to zaproponowałem, kolego, żeby go ukarać i przeprowadzić z nim rozmowę.”

— Nie ja, tylko wy, dyrektorze, proponowaliście — syknął zastępca i spojrzął na mnie z triumfem. — Kto wie, może mu to, biedakowi, zaszkodziło.

— Ja wiem — obruszył się dyrektor — że teraz będziecie składać na mnie całą winę. Tak wam jest najwygodniej. A pamiętacie, ile czasu dręczyliście człowieka, kiedy zwrócił się o podniesienie grupy.

— A wy, dyrektorze, dalszcie mu swój samochód, kiedy chęł zająć do szpitala...

— Psst! Dajcie spokój. Uszanujcie zmarłego, czemu tak krzyczycie!

Dyrektor uniósł chusteczkę do oczu. Ruch ten nie uszedł uwagi personalnego. Powoli zaurzył rękę w kieszeń, wyszarpnął z niej bladą różową płachtę i jakby przechodząc paroksyzm bólu, zakrył nią górną część twarzy. Wkrótce uspokoił się i zbliżył do przewodniczącego rady zakładowej.

— Czy On był na ostatniej liście premii?

— Był, toście go kazali wykreślić. Za drobniomieszczańskie naleciałości.

Kawę pił! Pamiętacie?

— Co wy mówicie, to nie ja tylko sekretarz. Ja mówiłem, że listy dostaje z zagranicy. Zresztą miałem zamiar to wyjaśnić. Ustaliłem, że to nie on dostaje listy, tylko żona. Nawet byłem skłonny głosić za prenią na następny miesiąc.

— Za późno! — szepnął nie bez cienia złośliwości przewodniczący.

— A wy co mu pomogliście? — warknął personalny. — Gazetki ma robić? Robił! W komisijskiej o. działał! Działal! Na akcje wykopkowe jeździł! Jeździł! I co ma z tego? Oceniliście chociaż? Pamiętacie, jak zabraliście mu zimowe rzeczy do Zakopanego? I co mu dalszcie? Do Ustki! Niech się opala. Widzicie, jak się opalił. Jaki czar. Awansu nie dalszcie, chociaż pracownik dobry, o mieszkanie już parę lat się dobijał — ale jak on o mieszkaniu, to wy o gazetkach i ekipie remontowej...

— Słuchajcie, towarzyszu — powiedział przewodniczący — nie szarpacie umarłego. Niehumanitarne. A mieszkanie na pewno bym załatwił!

— Wypchajcie się! Już ma mieszkanie. Prawie wille — szepnął personalny i zbliżył się do dyrektora.

— Dyrektorze, wieniec już jest gotów. Z taką szarfą, o jakiej mówiliście. Fioletowa i złote litery: „Nieodżałowanego koleżkę i wzorowemu współpracownikowi — dyrekcja i załoga”.

— Dobrze — stwierdził krótko dyrektor. Posmutniał przy tym, zakręcił palcami młynka i zwrócił się do personalnego. — O, widzicie, personalny! Był człowiekiem i nie ma go. A szkoda! Tak mało zdążyliśmy dla niego zrobić.

Szarpnąłem się mocno, podkurczyłem zdrowe nogi, jak mogłem najszerzej rozwarłem szczęki i wrzasnąłem: Ludziecie! Ja żyję!

— Wiem, wiem — powiedziała żona. — Nie wydzieraj się przez sen, tylko wstawaj prędko. Czas do pracy!

Kolega, który odwiedził mnie, aby opowiedzieć ten przedziwny sen, oświadczył, że nie wyjdzie dopóty, dopóki nie wyjaśnię mu, co mogą oznaczać takie męczące mary noce. Zastanawialiśmy się obaj, następnie każdy z osobna, jednak nie udało nam się rozszyfrować tej zagadki. Wreszcie, kiedy niepokieszony, z wyraźnymi oznakami głębokiego zamyślenia na twarzy zamierzał mnie opuścić, rzuciłem mu na odchodne: W każdym razie mogę ci jedno powiedzieć — my, Polacy, posiadamy umiejętność, której można nam pozazdrościć: umiemy świetnie pogrzeby urządzać!

Henryk JANTOS



WYSTĘP NA „DACHU ŚWIATA”

Ludowe tańce tybetańskie w wykonaniu grupy aktorów wędrownych.

CAF — fot. M. Bielicki

DWUGŁOS PLASTYCZNY

Nie wiedziałem, że jesteś takim miłośnikiem nowinkarstwa w plastyce. Bo czuję, że jesteś ZA grupą 4 F + R. Czy to możliwe?

— Jestem ZA nowinkami w naszym przestarzałym malarstwie, chociaż — jak wiesz — nie jestem żadnym znawcą nowoczesnej plastyki, ale tylko jej laickim wielbicielem.

— Ja malarskich „izmów” nie uznaję, a już abstrakcjonizm z mu nie rozumiem zupełnie.

— A ja go odczuwam w pełni.

— Jakim cudem możesz odczuwać coś, co nie ma żadnej treści?

— Chcesz powiedzieć raczej: co nie ma łatwo zrozumiałej literackiej anegdoty a la dziełnastowieczny realizm, tak?

— Patrz, to jest jedna z owych awangardowych prac. Czy to w ogóle można nazwać obrazem? Kolorystyczna ciuciubabka, płatanina kresiek i kłosek. Tak mogą malować tylko ludzie, którym realność jest, jeśli nie obca, to przynajmniej obojętna. Przecież sztuka musi być odbiciem rzeczywistości.

— Tak, ale twórczym odbiciem.

— Co tu w tej gmatwaninie jest twórczego?

— Bardzo wiele: całkowicie nowy dobór środków plastycznych, barw, linii i w ogóle tworzywa oraz fantastyka.

— Całkowicie nowy? Ależ to ciekawka po tym, czym obdadał się świat 30 lat temu!

— I tak i nie. Świat kilka zdobył różnych „izmów” przy swoich sobie na stałe. A że do nas przychodzi one z opóźnieniem, to już chyba nie wina grupy 4 F + R. W każdym razie dla Poznania i dla mnie są one całkowicie nowe.

— Wynika z twoich słów, że nie są to uświłowienia oryginalne, a więc twórcze. A sam mówiłeś, że odbicie rzeczywistości musi być twórcze. Więc?

— U naszej poznańskiej grupki twórcza jest droga do sztuki przyszłości poprzez syntetyzowanie poszczególnych nowatorskich osiągnięć różnych „izmów”, które biorąc po jednym były o tyle nie do przyjęcia, że rozbiły dzieło analitycznie do samych tylko wartości formalno-kolorystycznych.

— Przypuszczam. Ale nasze „4 F + R-aki” od 7 lat krzyżują te osiągnięcia i jakoś wychodzi ciągle tylko abstrakcja czyli abrakadabra.

— Przepraszam. Od 7 lat nie krzyżują, ponieważ krzykliwi zwolennicy lekko podrobionego „drobnorealistu” XIX w., którzy chcieli go nawet na zwać „socrealizmem” — zamknęli im buzię. Artysta nie może gadać do pieca. Chce mieć odbiorców, musi konfrontować swoje poszukiwania, zwłaszcza w gorączkowym okresie pogoni za nowymi drogami.

— Odbiegamy od tematu. Więc tobie podoba się ta praca?

— Podoba.

— A mnie denerwuje, bo jej nie rozumiem. Możesz ją powiesić do góry nogami, nawet tego nie zauważę. Założę się, że i ty — przynajmniej w

odniesieniu do niektórych prac — też nie zauważysz.

— Tak.

— A widzisz! Sam przyznajesz, że to nie dzieło sztuki, lecz abrakadabra.

— Dziełami sztuki nie nazywają tych prac nawet sami twórcy. Oni określają je skromnie jako próbki, wprawki, tonny, którymi chcą grać plastyczą na melodii przyszłości.

— Ależ ja tej „melodii” wcale nie rozumiem, nie mi te tony nie mówią!

— A co ci mówią tony chopinowskiego Poloneza-Fantazji? Lubisz go słuchać, a czy go rozumiesz?

— Co tu można rozumieć, to jest muzyka!

— „Powiew wiosny” Sindinga to też muzyka. Mimo to rozumiesz ten utwór, prawda?

— No, tak, bo świetnie oddaje nastroje wiosenne.

— Otóż właśnie są utwory muzyczne, które coś oddają, jak jest malarstwo, które oddaje anegdotę. I jest muzyka absolutna, która — jak fugi Bacha — nie wyraża literackiej treści. Wystarczy nam, że brzmi. Otóż nowoczesni plastycy żądają takich samych praw dla plastyki.

— Po co? Aby tworzyć bezużyteczne abrakadabry?

— Po pierwsze — nie bezużyteczne. 4 F + R właśnie walczą o to, abyśmy ich abstrakcyjne wzory powielali na ceramice, na dywanach, na ścianach, nawet na materiałach, co zresztą coraz częściej czynimy. Oczywiście, kiedy oglądasz jednak z metra, jest ci obojętne czy sprzedawca trzyma belę materiału normalnie, czy do góry nogami, prawda? 4 F + R chce zaprząć abstrakcję do służby użytkowej dla najszerzych warstw społeczeństwa.

— Chyba... drobniomieszczaństwa? Czy np. chłop będzie chciał patrzeć na płataninę kresiek i kłosek?

— Nie tylko będzie, ale już chce. I nie tylko chce patrzeć, ale sam te kreski i kółka tworzy. „Głos” publikował niedawno zdjęcie artysty ludowego Ignacego Dobrzyńskiego, chłop z Lubelszczyzny, wraz z próbą jego wycinanki: płatanina linii, czysta abstrakcja — i bardzo piękna! Abstrakcji w sztuce użytkowej są niechętni właśnie tylko drobniomieszczaństwo; lud i artyści doskonale wyuczają piękno tych form. A kilimy produkowane w wiejskich pracowniach? Jaka jest treść ich wzorów? O czym opowiadają? Co oddają? Nie — poza pięknem. I to jest cel sztuki użytkowej — ekscytować pokazywaniem nowoczesnego piękna.

— Czy nie można osiągnąć efektu piękna w tej sztuce

Dziś trzy głosy w dyskusji „Głosu” wokół głośnej wystawy „4F+R” załączam dwugłos, podśluchany na dyskusyjnej wymianie głosów w CBWA.

JASKI

Na propozycję zabrania dyskusyjnego głosu w dyskusji „Głosu” wokół głośnej wystawy „4F+R” załączam dwugłos, podśluchany na dyskusyjnej wymianie głosów w CBWA.

przy pomocy rozumnych elementów formy?

— Na przykład stylizowanych kogutków? Oczywiście można. To się robi od dawna i właśnie dlatego artyści szukają nowych form. Wiecznie fotografować życie nie można, tego dobrze znamo od lat — życia. Złazcza w okresie, kiedy człowiek zdobył władzę nad przyrodą i tworzy nowe, zupełnie inne życie, wysła sztuczne księżycy w przestrzeń, produkuje masy plastyczne o nieograniczonych możliwościach użytkowania.

— Na pewne elementy abstrakcyjne w sztuce użytkowej może być się zgodzić, ale ciągle jeszcze mi nie mówisz, jakiego rodzaju przyjemności doznajesz, patrząc na abstrakcyjną pracę, ot, chociażby tę, która wisi naprzeciw nas, w ramach, na ścianie i — nic nie wyraża?

— To jest właśnie najtrudniejsze do wytłumaczenia. Może dlatego sztuce tej tak trudno zdobyć sobie prawo obywatelstwa... No, ale postaram się być zrozumiałym. Zgadzasz się, że celem realizmowego — że

(Ciąg dalszy na str. 2)



Z szybkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę wdarła się lawina w głęboką dolinę alpejską. Śnieżna chmura pokryła całe zbocze. „Biała śmierć” czyha w górach. Fot. „Głos”

NOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY DODATEK „GŁOSU”

Rok VII numer 5

Niedziela, 5 II 1956

CHCEMY CHODZIĆ TAKŻE PO WYŻYNACH

Wiesława

Stypa

Codziennie chodzę po ulicach, zaglądam niedyskretnie w twarze mijanych przechodni i kamienie, wracam do domu unosząc pod powiekami ostatnie wrażenie; szary koloryst z beznadziejnym smutkiem osiada na wizji plastycznej miasta, przedmiotów i ludzi.

A przecież nie ukończyłem żadnego z wydziałów Akademii Sztuk Pięknych.

Nie potrafię przytoczyć nawet jednego terminu z bogactwa tych, jakimi olśniewają nas „plastyczne dyskusje”, „Nowej Kultury” czy „Przeglądu”.

Mam więc chyba prawo uważać się za profankę „najczystszej wody”.

A jednak wbrew temu, co inny „głos profana” wypowiedział przed dwoma tygodniami na tym samym miejscu, tęsknię sobie, w sposób nikomu z mych nizinnych współblich nie przeszkadzający, do owych górskich, niewygodnych szlaków, gdzie urok nowej formy czy powietrze grające od barw sowskiej wynagradzają trud przebytej wspinaczki.

Bo istotnie. Tu trzeba się wspiąć, a sądzę, że z wszelkich wspinaczek myślowa jest najtrudniejsza. Próbuje się pomyśleć: nie na czym innym polega zachwycająca ludzi wszystkich epok genialność dzieł malarzy renesansu, jak na doskonałej wierności w odtwarzaniu prawdy o swej epoce.

Ozdobny marmur jako element budowlany potwierdzał „logikę” architektury okrągłych linii, architektura „współgrala” z malarstwem miękkich, subtelnych tonów. Człowiek, któremu odkryte co dopiero ląd ukazywały ogromną perspektywę świata, widział go solidnym i trwałym, ujętym w dotykany system miar i wag; w nich zamykał swoje poznanie rzeczywistości; ledwo stawał u progu tajemnicy, już je zgadywał z niezmaconym poczuciem trafności swych sądów. A teraz z kolei, moi drodzy wielbiciele realizmu w sztuce, spojrzcie na nasz szalony wiek „elektronowy”: nie dość, że nie potrafił uporać się ze swym rozbi

tym nagle atomem i ulokować go na należnym mu miejscu w technice, a już zgłaszacie doń pretensje, że tak mało uczynił dla sztuki. Pomyślcie jednak, bo myśleć będziemy musieli z konieczności coraz częściej. Byłoby to dziełem naprawdę największej w dziejach ludzkości sztuki odnaleźć niesprawdzone już w dawnym systemie pomiarów prawdę o naszej rzeczywistości. I z konieczności samego procesu poznania (a sztuka jest również procesem poznania) każda próba realnego „widzenia świata”, jeśli nie ma pozostać nędznym fałszerstwem, musi stać się eksperymentem, próbą utrwalania na płótnie stale zmieniających się form, płynności linii, chaosu barw — elementów wiecznej ruchliwej materii. Zawierzmy intuicji artystów. Jedno tylko mają wobec nas zobowiązanie — wierność prawdzie o naszej rzeczywistości, a że wiemy jak ona jest trudna, nie dziwny się, że i sztuka mająca ją odtwarzać jest trudną sztuką. Szukamy przecież jej nauczycieli.

Wędrujemy po smutnych miastach naszej Ojczyzny stwierdzając zgodnie, że kolor szary nie wpływa pobudzająco nawet... na apetyt.

Z nieklamany prerażeniem przyglądamy się malarskim ewolucjom naszych twórców na staromiejskich fasadach. Weiskamy swe niesforne nosy do pracowni wybrańców sztuki i nie zawsze trafiamy pod właściwy adres.

Czyż mogło więc nas zabraknąć w tłumie, który z niespodzianym entuzjazmem zaprzeczył skromnej pojemności CBWA-owskiego saloniku, w przedostatnią niedzielę?

Dla wszystkich, którzy z zazenowaniem czytali zamieszczoną w „Nowej Kulturze” opinię o „kulturalnej” nieobecności Poznania stanowiło to przeżycie niespodziankę.

Więc jednak „coś” się u nas dzieje, ob. Wróblewski! Do poznających „mocarzy pióra” gorąca prośba: rzucić to na ogólnopolską falę, wcześniej nim „Przegląd Kulturalny” zacznie omawiać realizację wystawy „surrealistycznego malarstwa” na terenie Państwowych Gospodarstw Rolnych. Profani ze swej strony zapytują skromnie: kiedy zawiąże się dyskusja na temat tak pięknie podjęty przez grupę 4F+R? Właśnie kiedy — Alfred Lenica wytłumaczy im, że niepokojąca aż do absurdu płatanina barw w jego palcie to nie tylko sprawa tzw. techniki czy maniery twórczej?

Kiedy? — pytają niecierpliwie profani (znudzeni aż nadto szarą szarfą swego nizinnego życia), owe malarskie wizje ze sztalugowych eksperymentów, w myśl programu swych twórców „skomponują przestrzeń” barw i linii, po raz pierwszy w zgodzie z techniką naszego wieku?

Profani chcą wreszcie wiedzieć, co sądzą o swych dziełach sami ich twórcy. Tzw. krytyka artystyczna niejednokrotnie zaciemnia sąd o tych sprawach. Profani chcą w końcu, wbrew sugerowanej im piosence, zrezygnować z nizinnej wyściełki i raz chociaż zobaczyć co tam dzieje się na górze.

Na zakończenie, wszystkim wahającym się co do umiejętności rysunku u naszych współczesnych malarzy polecam dokładne przestudiowanie wystawy 4F+R. Zakreślona jednym pociągnięciem sylwetka „Czeszacej się” (mal. Zygfryd Wiczorek) może rozwieje ich wątpliwości.

Nieprzejeźdźnych zaś zwolenników „realizmu” w malarstwie odsyłam na Stary Rynek nr 48: burzące medaliony na różowo-leguminowym tle jednego już pozbawili złudzeń.

(Ciąg dalszy ze str. 1)

tak powiem — artysty jest oddać prawdę swoich czasów?

— Oczywiście. Ale przyszedł na jego podwórko. Mówisz o ddać. Wiesz przynajmniej, że sztuka musi coś oddawać?

— Tak.

— A jaką prawdę wyraża płatanina kreskę w wycinance artysty ludowego?

— Najogólniejszą prawdę harmonii, ład, afirmacji życia. Prawda naszych rewolucyjnych czasów jest bardzo złożona, różnorodna, wielopłaszczyznowa. Prawda jest oświecenie na twarzy chłopca, któremu po raz pierwszy w jego życiu zapalono widną lampę elektryczną. Prawda jest nowoczesne budownictwo wielopłytowe w szczyrim polu dla ludności malutkich miasteczek. Prawda jest śmigły lot odrzutowca.

I nowa perspektywa ziemi z wysokości sztucznego księżycy. I osobliwe kształty oraz barwy czarodziejskich mas plastycznych. I... nowe nieznane światy, które niedługo odwiedzimy rakietą. Pytasz, co czuje patrząc na ten zamalowany prostokąt? Czuję radość, że człowiek przy pomocy plastyki zaczyna wydobywać bogatsze piękno niż może dać sama natura. Bo nie widziałem nigdy i nigdzie takich doborów barw, kształtów, linii. Cieszą one moje oko swoją świeżością. Są niepokojąco odkrywcze jak... jak połowa XX wieku. Może tak wygląda roślinność na Marsie? Albo tajemnicze życie nad samym dnem głębokich oceanów, gdzie jeszcze nikt nie był, ale dokąd na pewno wkrótce trafimy? Czy pamiętasz żywą rzekę z plazmy w opowieści Lema „Astronauci“?

— Oczywiście, to był wspólny pomysł literacki!

— I wcale nie bzdury. Lem nie pisał fantastycznej bajki. Są naukowe przesłanki na możliwość istnienia takich światów w przyrodzie... nie z tego pepka światów.

— Cudowna fantazja!

— A plastynom nie wolno jej mieć? A może w jednej ze swoich prac Lenica chciał oddać właśnie smugi zachodzącego Syriusza na cielu żywej rzeki jednej z planet tej gwiazdy, gwiazdy, którą my na pewno osiągniemy?

— Kiedy!

— Sztuka musi wybiegać na przód. Na szaleństwo zdobywania nowych światów, tak jak nowego życia, ludzie mogą zdobywać się tylko wówczas, kiedy wyprzedzający bieg rzeczy artysty zaraża ich przecuciem nowych „cudów“ jeszcze nie-realnych, ale — osiągalnych. Formy nieznane! Oto piętno współczesności. Oto rozszerzenie kręgu możliwości dotychczas znanego świata realnego na nieznany świat przyszłości, nieznany, lecz coraz bardziej realny. Oto nowe uroki powstającego świata, nareszcie świat dla ludzi. Dotychczas plastyka tylko objaśniała stary świat przez takie czy inne kopiowanie go. Macie dziś od tego film i fotografie — mówią plastycy. My chcemy twórczo ingerować w rzeczywistość, zmieniać ją wraz z nami. Lecz, aby mogły z naszym udziałem powstawać artystyczne formy młodego świata przyszłości, musimy dziś użyć swojej wyobraźni, tak jak wy używacie swoich przodujących intelektów. Oczywiście takie postawie nie sprawy możliwe jest tylko w świecie postępu, gdzie sztuka staje się rzeczą pospolitą maluczkich.

— Hm, sugestywnie to przedstawiasz, ale ja, jestem przekorny i nieufny. Jeżeli to, co mówisz jest prawdą, to jednak tylko częściową prawdą. Istnieje przecież, jak sam mówisz, i piękno chłopskich twarzy, które wyszły z tysiącletniego mroku na światło lampy elektrycznej. Dlaczego 4F + R odżegnują się od ich przedstawiania?

— Wcale nie odżegnują się. Przeczytam ci jedno zdanie z programu (patrz katalog z 1949 r.) „Ramowy program grupy — dopiero częściowo wykonywany — przewiduje przedstawienie rzeczy społecznych w sztuce, bądź nadanie samemu

działu znamion rzeczy użytecznej społecznie“.

— To tylko program!

— Dowiedli czynami, że nie tylko. Mają za sobą dostateczną legitymację w postaci wielu prac o bezpośredniej treści społecznej.

— Ale nie na tej wystawie.

— Cóż chcesz? Przeżywają swój gorzki rewolt. Dziś stanęło na tym, co oni głosili przed 7 laty. Więc dali na wystawie przede wszystkim próbki tego, co jest w ich plastyce najoryginalniejszego.

— Wcale nie jestem przekonany, że „stanęło na tym co oni głosili“. Czy droga do sztuki przyszłości wiedzie koniecznie przez przyswajanie sobie — dla mnie ciągle wątpliwych — zdań byczy „izmów“?

— Koniecznie.

— Skąd wiesz, kto ci to mówi?

— Dialektyka rozwoju oraz profesor Morawski w tygodniku „Prostu“. Oto mniej więcej jego słowa. Współczesny artysta musi startować od tych sposobów technicznych i formalnych, które stanowią nowe, historyczne, ostatnie osiągnięcia. Rewolucja plastyczna z początku XX wieku, to wyraz dramatycznego, zwycięskiego starcia się człowieka z materią. Zdobyte tej rewolucji należy aprobować, istnieje bowiem rozwój doświadczeń formalnych i warsztatowych, które sumują się. Zakotwiczenie aktualnych poszukiwań w przodujących dzisiaj na świecie formach plastycznej wypowiedzi, jest krokiem naprzód a nie wstecz, tendencją naturalną i zdrową.

— Czy wszystko to są opinie prof. Morawskiego?

— Aż do kropki.

— To straszne! Więc musimy zginąć na tę plastyczną chorobę?

— Wcale nie. Musimy tylko przechować tę plastyczną gorączkę. Bo wszystko to, co przytaczam, wcale nie znaczy, że taki będzie ostateczny wyraz naszej plastyki. Forma odpowiadająca w pełni treściom współczesnym jeszcze się nie narodziła.

— Co za szczęście!

— Narodzi się ona właśnie przy pomocy doświadczeń nad zdobyczami Picassa, Legera, Braque'a i innych, którzy stosują skróty, syntezę, symbol, hiperbolę — bez „deformacji ad absurdum“, z którą równie słusznie jak ciekawie walczy Janusz Likowski. Ze grupa 4F + R tego rodzaju doświadczenia kontynuują w powiązaniu z realizmem, po pierwsze jest to jej zasługa, po drugie — ma dzięki temu szansę odkryć poszukiwaną formę wcześniej od innych.

— Słowem, trzeba im i sobie życzyć, aby to się stało jak naj-

SŁOWACKI w Wielkopolsce

W minionym roku dowiedzieliśmy się o powiązaniach Adama Mickiewicza z naszym terenem, o jego podróży, z której narodził się „Pan Tadeusz“. Ostatnie badania przeprowadzone przez młodego polskiego naukowca Jarosława Maciejewskiego wykazały, że Mickiewicz przyjechał do Wielkopolski zasadniczo w celach politycznych, a nie dlatego, żeby tylko przedostać się za Prosnę do powstańców. Szkoda, że Jarosław Maciejewski nie opublikował swoich odkryć. Rzuciłoby to nowe światło na życie i działalność Wielkiego Poety i niewątpliwie rozwiązałoby niejedną niejasność.

Za to podał nam pracę w formie szkiców i materiałów pt. „Słowacki w Wielkopolsce“. Przeciętny inteligent tak mało wie o łączności drugiego wielkiego poety z ówczesnym Wielkim Księstwem Poznańskim. Tu w Poznaniu wychodzący „Tygodnik Literacki“ interesował się działalnością J. Słowackiego, tu też wysiadł ze „Schnell-pocztą“ 11 kwietnia 1848 roku, by wziąć udział w wielkopolskiej kosynierce. W akcję tę włączony jest Karol Libelt, Moraczewski, Matecki, Stefański.

Praca J. Maciejewskiego jest wyczerpująca i ciekawa, ale nie dla szerszego ogółu. Zainteresuje ona niewątpliwie nauczycieli języka polskiego w szkołach średnich i młodszych historii literatury.

przedzej. Chyba to nie potrwa długo?

— Potrwa. Będzie to długotrwały proces historyczny.

— Nie strasz, to tylko twoje laickie zwątpienia.

— Nie, to jeszcze jedna opinia prof. Morawskiego.

— Przykre to, że plastyka musi tak długo dojrzewać.

— Wraz z plastykami dojrzewać będzie publiczność...

— Ach, ta twoja złośliwość!

— Nie, to dokonczenie zdania prof. Morawskiego.

— Czy nawet na zakończenie nie potrafisz zacytować kogo innego?

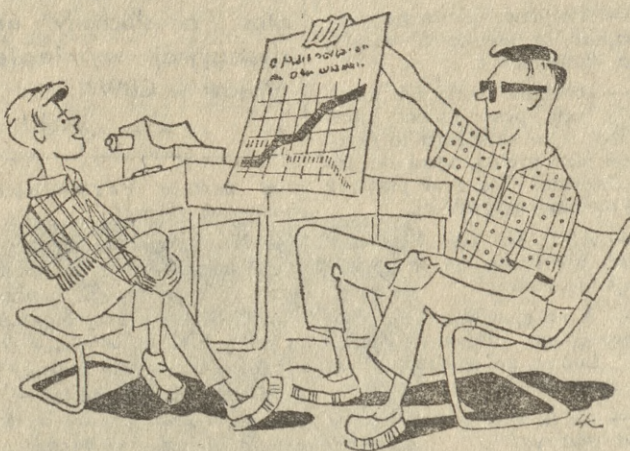
— Proszę bardzo. Od czasu Van Gogha gigantyczne zmiany nastąpiły w naszej rzeczywistości technicznej i społecznej, pomimo to gusty artystyczne niektórych z nas nie odbiegają wcale od gustów „małego mieszczaństwa“ z tamtych czasów — Danowicz. Udostępnianie publiczności oglądania wystaw artystów, których twórczość należy do kranco różnych kierunków plastycznych,

rozszerza wiedzę o sztuce wśród społeczeństwa, samym zaś twórcom pozwala skonfrontować własne przekonanie o swojej działalności — Czartoryska. Upowszechnianie kultury to podciąganie nowych od biorców do sztuki przez duże S, a nie jej deprecjonowanie — Paukszta. Poznawanie świata na nowo w jego różnych formach, rytmach i kierunkach, barwach i uogólnieniach stanowi radość w obcowaniu ze sztuką współczesną — Racinowski. Chcemy uniknąć zapóźnienia wobec plastyki na świecie — Toeplitz. Sztuka w dobie socjalizmu musi być awangardowa — Przyboś. Trzeba co prędzej dościsnąć osiągnięty już poziom artystyczny na świecie i tworzyć naszą sztukę na najwyższym szczeblu świadomości plastycznej — Nowowiejski. Czy ten bukiet wy starczy?

— Nie potrzebuję dodawać, że dwugłos ten podłuchałem... u siebie samego.

Zygmunt JABŁKOWSKI

Gdy ojciec z synem...



„New York Times“ jest jednym z największych pism kapitalistycznego świata, a James Reston należy do najpoważniejszych dziennikarzy amerykańskich. W końcu ub. r. opublikował Reston rozmowę z pewnym dwudziestoletnim chłopcem na temat stosunków w szkolnictwie. Dodajmy, że chłopiec nazywał się Thomas Reston.

Oczywiście, nie możemy wiedzieć, czy rozmowa redaktora z własnym synem istotnie miała miejsce, choć jest to obojętne; decydującym pozostało, co James Reston podał do druku w swoim piśmie.

Chłopiec pragnie wiedzieć, dlaczego szkoły są małe, dlaczego tak mało nauczycieli, i dlaczego tak dużo dzieci pozostaje poza szkołą. Ojciec tłumaczy mu, że jest za wiele dzieci, a za mało szkół, a nadto mało i do tego źle płatnych nauczycieli.

Dialog między ojcem a synem toczy się dalej.

Syn: Jeżeli nie mamy wystarczającej ilości szkół i zbyt mało nauczycieli, to dlaczego nie potrafimy temu problemowi sprostać? Czy jesteśmy za biedni?

Ojciec: W żadnym razie. Kraj nasz jest bogatszy aniżeli kiedykolwiek i bogatszy od jakiegokolwiek innego kraju na świecie.

Syn: No, dobrze, lecz co jest tego powodem?

Ojciec: Amerykanie wolą budować auta niż szkoły!

W tym miejscu red. Reston operuje liczbami statystycznymi, z których wynika, że Amerykanie wydali w roku 1955 o pięćdziesiąt procent więcej pieniędzy na samochody aniżeli w roku 1954. Dialog między ojcem a synem osiąga punkt krytyczny, gdy rozmawiają o wypadku opuszczenia posady przez pewnego nauczyciela, który postanawia zmienić zawód.

Syn: Słuchaj tylko! Gdy więc nauczyciele zaczęli „pryskać“, ponieważ mają za wiele dzieci, a za mało pieniędzy, a poza tym dlatego, że rząd nie ma zamiaru wydawać na ten cel pieniędzy — co więc z tego wyniknie?

Ojciec: No, jeżeli dłużej to potrwa, zamienimy się w naród głupków. Ponieważ człowiek, który buduje dla młodocianych bandytów lepsze szopy i szybsze auta — a potem pakuje ich do wojska, aby walczyli za sprawę, których wcale nie rozumieją — taki człowiek jest głupkiem!

Syn: Co więc zamierzasz w tej sprawie przedsięwziąć?

Ojciec: Kto, ja?

Syn: Tak, ty!

Ojciec: No, ja, poczekaj tylko. Więc ja...

Syn: Właśnie to samo i ja wobrażałem sobie.

Tym zapytaniem, które pozostaje bez odpowiedzi, kończy redaktor James Reston dialog ze swoim synem.

Jot

Na latającej wyspie „Laputa“, gdzie w mgławicach Oceanu, Jonathan Swift w III części swego Guliwera pisał mniej więcej tak: „Jedynym bractwem na tej wyspie, żeby nie powiedzieć umarłych, składało się ze ślepego mistrza i kilku pomocników cierpiących również na wzrok. Bractwo to zajmowało się mieszaniem farb, a mistrz uczył ich, aby farby mieszały na uczucie i według własnego gustu i smaku“.

Więc dobrze, zgódźmy się, żadnej przedmiotowości, żadnego naturalizmu, wyłącznie tylko abstrakcje. Mogą być dwie lub trzy głowy lub cztery oczy, pięć nóg itd. Obojętne jest, jaki przedmiot, obojętne też, czy obraz wisi tak czy odwrotnie, czy plama, płaszczyzna, czy linia idzie tak, czy odwrotnie. Ważne jest, jak obraz jest malowany. Na jakiś atoli probierz wartości musimy się zgodzić. Piękno! Co to jest piękno? Prawda! Co to jest prawda? Wszystko jest ruchome.

Powiadacie: Forma, farba, faktura, fantastyka, dobrze, niech i tak będzie. A czy sztuka wielka kiedykolwiek dała się ująć w jakąś formułkę?

Rembrandt nie był nigdy kubitą, ani formistą, a jednak będzie żyć ponad wieki. Zresztą — lux in tenebris lucet.

Przed przeszło 50 laty, tylko w dużo lepszym wydaniu, u dużo zdolniejszych artystów widzieliśmy tę kombinację. Jak muszki oscylujące i fosforyzujące, tak brzęczały we Włoszech, Francji, Hiszpanii futurysty, kubizmy, pointyilizmy, elementarysty, neoplastycyści, absolutyści, suprematysty, surrealisty, purysty, mechanizmy, konstruktywizmy, ultraizmy i Bóg wie jakie inne — izmy; i wszystkie one buchnęły, zawrzały i... zgasiły.

Na przedzie szedł Marinetti. Poza tym Carlo Prina ze swoimi „kompozycjami absolutnymi“, Giacomo Balla, „cyfry zakochane“, Giorgio Morandi, Leo Leuppi, rzeźby z blachy, klejanki, okrągłego żelaza czy grutu, potem Manlio Rho, kompozycja „abstrakcyjna“, albo Aldo Galli, swoją rzeźbą w ruchu, akt z samych trójkątów. I tam malarze również łączący się z architektami, aby się nie rozpląnąć w abstrakcji. Były i bombastyczne manifesty i „wyrywanie z posad brył świata“, obruszanie równowagi całego nieomal systemu planetarnego, a mimo tego wszystkiego świat

Dziwne miasto Zduny

Nie tylko dziwne, ale pewnie w Polsce w swoim rodzaju jedynie. Składało się od mniej więcej r. 1650 z trzech obok siebie położonych miast, mianowicie: ze Zdun Starych, Zdun Nie mieckich i Siemutowa. W starożytności Zduny mieszkał Polacy, katolicy, trudniący się rzemiosłem i rolnictwem; w nie mieckich — sami protestanci Niemcy, rzemieślnicy, a w Siemutowie — również Niemcy. — Każde z tych miast miało swój osobny magistrat, swój ratusz i kościół. W Zdunach Starych był kościół katolicki, w Zdunach Niemieckich — protestancki, w Siemutowie tak samo, z tą różnicą, że tutaj odbywały się nabożeństwa w języku niemieckim i polskim. (s)

Opowiadania wielkopolskie

„Pogrzeb“, „Warkocze“, „Okaryna“, „Powódź“ — oto tytuły opowiadań Przemysława Bystrzyckiego, które pod wspólnym „mianownikiem“ — Warkocze ukazały się niedawno na półkach księgarskich, wydane przez Wydział Kultury oraz Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną im. Raczyńskich w Poznaniu. Pierwsze z opowiadań dotyczy okresu okupacji, akcja następnych obraca się w kręgu spraw wiejskich.

Zawarty w podtytuł zbioru przymiotnik „wielkopolskie“ zmusza do zastanowienia się, w jakim rozmiarze spełnia autor tę zapowiedź. Bystrzyckiemu udaje się to — różnie. Może najlepiej w „Warkoczach“ i „Okarynie“, będących zresztą ilustracją do ważkich politycznie też (sojusz robotniczo-chłopski, konflikt między

młodym a starym pokoleniem na wsi), gdzie obok przekonywających, typowych dla wsi wielkopolskiej realiów dużą rolę odgrywa sugestywnie przez autora namalowany pejzaż.

W „Pogrzebie“, który uważam za najlepsze opowiadanie zbioru, zwraca uwagę ciekawa kompozycja, odczuwa się tu atmosferę okupacji, wiarygodność sytuacji i zdarzeń (dobra pointa).

Jeżeli chodzi o stronę artystyczną debiutu Bystrzyckiego, tutaj zwłaszcza w opisie (dialogi są słabsze) znajdujemy wiele miejsc napisanych bardzo plastycznie, na przykład przejmujący opis powodzi, chociaż całe opowiadanie jest polukrowane trochę banalnym happy

endem. Równie piękne opisy przyrody spotykamy w „Okarynie“ i „Warkoczach“. To jest mocna strona prozy autora „Pogrzebu“.

Braki? Odpowiem na to pytanie postulatem. Należy oczekiwać, że w przyszłości Bystrzycki pogłębi tematykę, wyostrzy zmysł obserwacyjny, dostrzeże na wsi nowe sprawy, konflikty, o których trzeba pisać, że w jego następnych opowiadaniach będzie więcej prawdy o współczesnym życiu wsi wielkopolskiej.

Cieszyć wygląd zewnętrzny książeczki. Zbiorek wydany został bardzo starannie, na niezłym papierze, z pięknymi rysunkami Zbigniewa Kaji. Całość prezentuje się bardzo estetycznie, gratulacje dla wydawcy. Cz. M.

trwa dalej w swojej równowadze i regularnie wschodzi i zachodzi słońce. Ale w Polsce przecież nie było tak głucho, był „Bunt“ grupy Jana Wronieckiego, „Zdrój“ Hulewicz i „Blok“, i „Praczens“ wcale poważne mieli osiągnięcia w tym kierunku. No, i architekt Szymon Cyrcus ze swoją żoną.

Nasi pogrobowcy z Alei Marcinkowskiego wybrali sobie na swego szandarowego człowieka Jana Sychalskiego. Wagrowiecczanin cichy, spokojny, skupiony bibliotekarz w Poznaniu, ale pasjonowany malarz-samouk. Zapatrzył się w jakiegoś Francuza i maluje martwe natury lazurową techniką. Logicznie i spokojnie rozwija się jego fizjonomia malarzka. Gdy szuka bogatszych kompozycji, siła fantazji malarzkiej maleje. Pod względem skali „mozaikowej“ należy do tej grupy, ale styl jego stanowczo jest inny. Należy się podziękować grupie że tego, niesłusznie tak szybko zapomnianego i niedocenionego malarza przypominała Poznaniowi.

Wodzirej grupy, Lenica, nie-spokojny, stale w fermentcie, szturmujący gwiazdy, zmienia swoją skórę jak zmija i — trzeba to przyznać — robi to z talentem. Niechże więc tematyka za siebie mówi. Czy istotą tego kierunku jest pomieszczenie dzieł naukowych jak fizyki, geometrii, muzyki i Bóg wie czego, aż do fotomontażu włącznie, aby uzyskać efekt najekscen-tryczniejszy?

Gdy patrzę na Lenicy „Macjacje“, „Metamorfoza“, „Andante doloroso“, „Rysunek na chodniku“ amianowicie „Życie w głębi“, nasuwa mi się w pamięci wielki atlas kolorowy żywych stworów oceanu wielkiego przyrodnika Haeckla, gruby księgozbiór dla mnie rewelacyjny i dla każdego malarza; i muszę przyznać, jakkolwiek Lenica swoje kalambusy malarzkie podaje w formie epigramatu z dociepek, w porównaniu do drugich członków grupy, nawet z tupetem, to jednak gdyby wziął Atlas Haeckla do ręki zdumiałby się, o ile „życie w głębi“ tego uczonego jest kolorystycznie mocniejsze od jego tworu. I tak snują się fragmenty Lenicy w rozmaitych technikach, które trudno złączyć i pogodzić z jednolitością stylu. Mickiewicz maluje jako fantom! „Czary“ podobne do „nocy“, a co nazywa „Widokiem z okna“. Rzeczywiście szkoda słów: „Andante doloroso“.

Drugi wystawca, to malarz i krytyk Feliks Maria Nowowiejski. Trzeba mu wierzyć, że ta przemiana wewnętrzna jest szczerą i pozostanie szczerą. U niego również „Nokturny“, Mussorgski i Dworzak, i niektóre błyskotliwe perełki jak „Ballada“. Cała wystawa działa jak szachownica pstra; owszem krzyczy — w dysonansach. Nie gubimy się w szczegółach. Za ciasny jest kąt patrzenia na świat tej grupy. Można w ten sposób wokoło siebie zrobić więcej szumu, ale do tego wielkiego strumienia, do nurtującej od wieków z przepowiny świata wielkiej sztuki nie dojdą, do żadnej monumentalności nie dojdą, epopei plastycznej nie stworzą. Podziela raczej los swoich poprzedników. Pozostawioną sztukę na krawędzi, na marginesie.

Jedynym problemem wartości tego ruchu byłaby przydatność społeczna w najszerszym tego słowa znaczeniu, w budownictwie. Cóż z tego, jeżeli architekt w tej grupie sam siebie znegliżował, podając na wystawę „okruchy“ swojej pracy; architekt niewątpliwie ciekawy, mający dużo wartościowych rozwiązań architektonicznych choćby tylko na terenie Targów Poznańskich, gdzie widziałem dużo lepsze fotografie jego architektury. Na wystawę zaś dał rameczkę ozdobną z kilkoma fotosami.

Czytajcie Guliwera o wyspie „Laputa“. To książeczka ciekawa, pisana dla dzieci. Dopóki ta wyspa i bractwo na niej w mgławic abstrakcyjności nie wyjdzie, będą budować w powietrzu i nazywać się, mówiąc ich językiem (4F + R)? = O.

Na gwiazdkę „Dom Książki” prezentował społeczeństwu polskiemu miłą niespodziankę: jest to nieduża książeczka Jana Kamyczka pt.: „Grzeczność na codzień”, zawierająca zbiór przepisów i reguł demokratycznego savoir-vivre'u, drukowanych w ciągu ostatnich paru lat na łamach krakowskiego „Przekroju”. Do wodom, jak dalece podobne wy-



dawnictwo jest potrzebne i jak wielkie jest zainteresowanie za gadaninami kultury towarzyskiej, może być fakt błyskawicznego wykupienia książki, stano- wiającej swego rodzaju kodeks form towarzyskich obowiązujących, jakbyśmy powiedzieli, na obecnym etapie.

Na marginesie ukazania się „Grzeczności na codzień”, warto przypomnieć, że nasz współczesny arbiter grzeczności — Jan Kamyczek miał poprzednika w Poznaniu. Był nim p. P. Paliński, który przed z górą pół wiekiem wydał nakładem własnym w r. 1897, a czcionkami „Główna Wielkopolskiego” — „PRAWIDŁA GRZECZNOŚCI I PRYZWOITOŚCI DLA WSZYSTKICH STANÓW, A MIANOWICIE DLA KOCHANEGO LUDU POLSKIEGO”.

Swoją skromną — jak sam nazywa — pracę, zadekował p. P. Paliński „Jaśnie Wielmożnej Pani Hrabini na Potulicach Potulickiej”.

Paliński ujął reguły grzeczności w XV rozdziałów, poczynając od „grzeczności i przyzwoitości w ogólności” i kończąc „o tytułach w listach”. Przytoczymy, zachowując styl i pisownię oryginału, kilka bar- dziej charakterystycznych prze- pisów:

1. O CZYSTOŚCI CZYLI OCHE- DOZTWIE

1. Po czystych rękach poznaje się meza z dobrem wychowaniem. Ob- cina paznokcie nie zadługo, ale i nie za krótko. Byłoby to jednak nieprzyzwoitością, gdybyś to w obecności innych czynił, lub gdy- byś paznokcie obgryzał...

2. Nie smaruj włosów na sposób fryzjów...

3. O UBIORZE

1. Kmierny zmienia się co dzień, jeżeli tego potrzeba. Szkar- petki zmieniaj zimą parę co tydzień raz, latową zaś dwa razy

OKIENKO na ZACHÓD

WET ZA WET

Sto kilometrów od Johan- nesburga (Afryka Południo- wa) chwycił pewien człowiek nazwiskiem Peter Grymphys okaz bardzo niebezpiecznej zmił. Nagle bestia ukąsiła go w ramię, lecz on nie tracąc zimnej krwi dobył noża, roz- ciął ranę i wyssał niebez- pieczny jad. W następnej chwili — pomny chęba biblij- nego przysłowia „oko za oko, ząb za ząb” — ugryził z kolei sam zmił, która wkrótce po- tem zdechła.

1. Przy siedzeniu nie chęć dru- gim uprzykrzać...
2. Kapelusze kładzie się prosto na głowę, a nie z boku na ucho, co znamięnieniem upartości i swawoli, nie wleka się go też na czoło, co jest oznaką skrytego usposobienia, ani też na tył głowy, co głupio wy- gląda.

3. Wstydlivość i przyzwoitość zakazują w obecności innych się ubierać i rozbierać, jeżeli to gdzie- indziej załatwić można.

4. O POSTAWIE CIAŁA

2. Przy siedzeniu nie przystoi: a) nogi na nogę zakładać b) szeroko nóg rozstawiać c) bez przestanku niemi dyndać...

5. O POSTAWIE RESZTY CZŁO- NÓW CIAŁA

1. Wystrzegaj się następujących rzeczy: a) nie strzelaj oczami w koło siebie, gdyż to znakiem roz- targnienia b) nie poruszaj ich tak- że za często, gdyż to nadaje twa- rzy wyraz dziki, złowrogi c) nie podciągaj brwi w górę, gdyż przez to pychę i nadośność okazujesz d) nie grzesz pożądanymi spojrze- niami, przyglądając się bezwsty- dnym obrazom, figurom albo też nieprzyzwoitym ciekawością we wszystko się ciekawie wpatrując e) nie wpatruj się zbyt śmiało w twarz osób pici drugiej, byłoby to nieprzyzwoitością, zarozumiałością ba, może nawet grzechem.

6. O ZACHOWANIU SIĘ MAŁ- ZONKÓW WZGLĘDEM SAMYCH SIEBIE

1. Za dobry ton w domu jest w pierwszym rzędzie odpowiedzial- na jako żona.
2. Nie pokazuj się towarzysz- kowi nigdy brzydka, ani nie dawaj mu sposobności żeby czynił pomie- dzy tobą a innymi kobietami po- równania, któreby na twoją nieko- rzysć wypadły. Unikaj w twojej powierzchowności wszelkiego za- niedbania tak osoby jak i ubioru.

3. Posługuj się czystą, piękną mową, nie daj się nigdy ponieść gniewowi. Niech maż twój widzi w osobie twojej wieloletnią łagod- ność, cierpliwość, pobłażliwość, bezinteresowność, które to cnoty ozdoba żony być powinny. Usu- waj mu (mężowi) z drogi wszelkie niewygody. Dawaj mu potrawy, które chętnie jada, chętnie bowiem meza twego przykuć do domu to nie szkodzą w kuchni. Nie pozwalaj aby przerywano mu drzemkę po- bieżnia.

5. Nie ukrywaj przed nim niecie- go. Nie rob mu nigdy scen. Nie przeszkudź jego kieszni, ani też przetrzymuj jego papierów. Wystrze- gaj się wszelkich większych wy- datków uczynionych bez jego wie- dzy. Znoś niedostatek, nie dając tego drugiemu zmartkować.

6. Spraw twojej żonie często przyjemność przez drobne uprze- żmości. (Co nasze panie na to? — przyp. red.)

7. O ZACHOWANIU SIĘ NARZE- CZONYCH WZGLĘDEM SIEBIE

1. Wolno ci się do niej poufnie „Ty” odzywać i po imieniu do niej mówić oraz przy jej przybyciu i odejściu poważnym pocałunkiem w czoło ją witając i pożegnając.

2. W towarzystwie powstrzymuj się od wszelkich objawów czułości. Jej włosami się bawić, jej ręką pieścić, szeptać z nią to wszystko jest poufnością zabronioną. (Och, jak srogo! — przyp. red.)

3. Jako narzeczonemu nie wolno ci wymagać, aby cię przez dłuższy czas sam na sam z oblubienicą twoją pozostawiono. W towarzy- stwie twojem zawsze się znajdować musi matka, albo jakaś starsza krewna, czy młodsza siostra twej

narzeczonej. (Aby było rzetelnie nudno! — przyp. red.)

4. Krótsze przechadzki za dnia z twoją narzeczoną są dozwolone.
5. Jako narzeczony żyj na dobrej stopie z twoją przyszłą teściową...
6. Jeśli chcesz wiedzieć jaką żonę twoją narzeczoną będzie z czasem, to spojrzij na twoją teściową. (Tyl- ko się nie przeraż! — przyp. red.)

8. O PRYZWOITOŚCI ZACHO- WANIA SIĘ W CZASIE TAŃCA

Aby pięknie tańczyć pamiętajmy sobie następujące reguły:

1. Nie wolno ścisnąć rąk pani ani też w czasie tańca do siebie przy- cisnąć, gdyż to jest wielką nieprzy- zwoitością.

2. Nie wolno zabierać w tańcu pozycji, któreby źle tiomaczone być mogły...

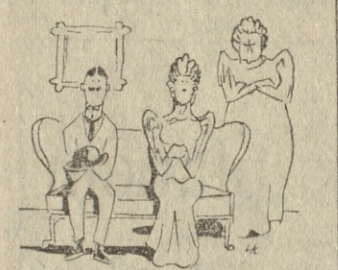
3. Umiarkowany taniec dobro- czynnie na zdrowie człowieka od- działują, gdyż przezeń wszystkie części ciała wprawiane bywają w delikatne ruchy, bieg krwi bywa ułatwiany, nieznaczna waporzy- cza (porowanie) ciała pomnażany, zdrowa pomieszka soków utrzy- maną, gętkość członków przyspa- rzana i takowa podtrzymywana.

11. O ZACHOWANIU SIĘ W TO- WARZYSTWIE

1. Gdy się znajdujesz w towarzy- stwie... wystrzegaj się drzemki gdy inni mówią, ani śladaj gdy drudzy stoją, ani też nie przeszkadzaj, gdy inni na swem miejscu stoją.

5. Nie mów przez nos, ani też nie cedź słówek przez zęby, nie mów głosem śpiewającym, śpiąc- cym, krzyżącym, wrzaskliwym.

6. Wymawiaj wyrazy dobrze bez jakiegokolwiek przekręcania. Nie mów np.: Pon Jon, zamiast pan Jan, dzibci nodzi, zamiast gibki nogi, psiwo, psies zawiast piwo, pies, jecheli, oreli, pojedemy za-



miast jechali orali, pójdzmy. Nt dobrze też słysza się owe po- taktowania np. hale, hale, dykci, a Jusick. Wystrzegaj się wyrażen: A do licha, do pioruna, psia duszo.

12. O GRZECZNOŚCI, PRYZWOI- TOŚCI I TYTUŁACH W LISTACH

2. Listy dzieli się na a) urzede- we, b) uprzejmo grzeczne, c) listy przyjacielskie...

3. Na zakończenie listu potrzeba czterech osobnych wierszy: pierw- szy do zapewnienia szacunku i wy- sokiego poważania, drugi do skre- ślenia zaimku osobistego osoby drugiej, stawianego w środku, w trzecim przymiot i w czwartym podpis, jak np.: „W nadziei, że Pan Dobrodziej do mej prośby (unio- nej prośby) łaskawie przychylił się raczyś kreślić się z wyrazami najwyższego poważania

Jego uniżony N. N...

Niesposób, oczywiście, stre- ścić większości przepisów, ko- deks grzeczności bowiem na- szego arbitra form towarzy- skich z końca XIX wieku liczy nie mniej ni więcej tylko 150 stron drobnego druku. Dość po-

wiedzieć, że na zestawienie prze- pisów o „pozdrawianiu” (kła- nianiu się) i „formach przy- zwoitości przy przemowie” au- tor poświęcił 9 stron druku. Niemniej miejsca zajęły opisy postępowania przy składaniu i odbieraniu wizyt, przy czym „słówko o kartach wizyto- wych” zajmuje aż dwie strony. Rozdział „o zachowaniu się przy jedzeniu” opracowany zo- stał również niezwykle dro- bniawo, uwzględniając za- chowanie się gościa, gospodar- za, przed, w czasie i po jedze- niu.

Dziś, gdy przeglądamy te re- guły grzeczności i przyzwoito- ści arbitra Palińskiego, wiele z nich budzi wesoły nastrój i uśmiech z powodu swej pre- tensjonalności i fetyszyzmu dla formy, ale — dodajmy na za- kończenie — często możemy za- łować, że niektóre z tych reguł, niestety, zapomniane zostały, co możemy stwierdzić spoży- wając np. posiłki przy współ- nym stole w stołówkach lub na wczasach.

Kazimierz RYMWID

MORZE — niewyczerpane źródło bogactw

NOWE MOŻLIWOŚCI TECHNIKI

Morza, których powierzchnia jest dwa i pół raza więk- sza od powierzchni wszystkich lądów, zawsze wzbudzały cieka- wość ludzką. Ten dziwny świat płynnego żywiołu do tej pory zaledwie pobieżnie zba- dany, rozciąga się na przestrze- ni 359 milionów kilometrów kwadratowych i obejmuje oko- ło 1 425 000 milionów ton wo- dy. Morza przedstawiają dla mieszkańców naszego globu niewyczerpane źródła żywno- ści i energii, gdyż niezależnie od wielu smaków, olbrzymiego bogactwa ryb, płazów, mięcz- ków i skorupiaków, zawierają one niezmierzony zapasy su- rowców przemysłowych.

Człowiek od dawna wydoby- wa z morza wiele substancji mineralnych, tak koniecznych dla jego życia, jak na przy- kład sól kuchenna, rozpuszczo- na w wodzie w ilości 28 gra- mów na jeden litr. Również po- wielu poszukiwaniach i pró- bach udało się chemikom uzy- skać bardzo cenny jod z pew- nego gatunku alg. W miarę u- doskonalania procesów badań oraz obserwacji naukowych, uczeni odkryli wiele innych bo- gactw ukrytych w wodzie mor- skiej.

O złocie i o uraniu

Obecnie można już dokonać pewnej inwentaryzacji bo- gactw morza: osiem... milar- dów ton złota, dwa miliardy ton uranu oraz astronomicz- ne ilości żelaza, miedzi, cyny i cynku oraz ołowiu spoczywa

ją w wodach oceanu, w for- mie najdelikatniejszych drob- in i cząstek rozsiianych w ma- sie wód. Co najważniejsze je- dnak, że rezultaty osiągnięte podczas prób wydobywania o- wych substancji, są nader o- biecujące. Tak na przykład A- merykanie przystąpili do pro- dukowania z wody morskiej magnezu, która zawarta jest w każdej tonie wody morskiej w ilości 1250 gramów. Znany trust „Down Chemical” prze- rabia w ten sposób codziennie dwa miliardy litrów wody mor- skiej, uzyskując z niej podsta- wowy surowiec dla konstruk- cji samolotowych, aluminium.

Badacze nie mają zamiaru pozostawiać swoim następcom troski poszukiwania, odkrywa- nia bądź eksploatacji przy- szłych bogactw. Coraz większa jest ilość spotkań i konferen- cji uczonych całego świata, zmierzających do zorganizowa- nia badań morskich i podwod- nych. Konferencja taka od- była się w końcu października ub. roku pod protektorem UNESCO w Tokio, gdzie wy- raźnie zaapelowano do tej or- ganizacji o przyjęcie przez nią patronatu nad pracami od- krywcami w tej dziedzinie.

Ostatnio znowu odbyło się zebranie uczonych licznych krajów w Paryżu, gdzie zaj- mowano się problemem natu- ralnych arterii wodnych biegnących do morza, którymi we- dług opinii naukowców płyną nie tylko kamienie i muł, lecz przede wszystkim potężna i- lość minerałów wydartych z wnętrza ziemi. Uczeń przy- rownywały owe wielkie ciekły do transporterów drenujących i unoszących metale oraz sole mineralne ogromnej wartości.

Eksploatacja skorup

Uczeni oraz technicy próbu- ją odebrać fałom oceanu wszy- stko, co pochłonięły one w cią- gu wielu tysięcy lat. Oczywiście, są to operacje nadzwyczaj trudne. Uczeni pracują cy dla wspomnianej już firmy „Down Chemical” wpadli na pomysł rozpoczęcia eksploata-

cji... ostryg. Ich skorupy są szczególnie bogate w magne- zję, która jest podstawowym surowcem przy produkowaniu aluminium.

Cała zresztą drobna fauna morska wehlania w czasie fi- zjologicznych procesów sub- stancje mineralne. Spośród wielu drobnych organizmów, wymienimy chociażby ławice koralowców, ciągnące się na przestrzeni wielu setek kilo- metrów w wodach tropikal- nych, zawierające znaczne ilo- ści... srebra. Inne organizmy obfitują w vanadium, z które- go można uzyskać uran. Jesz- cze inne produkują amoniak, jod, bądź wreszcie sodę. Osta- tnie nieustępliwi uczeni wpa- dli na koncept, aby zająć się wychowywaniem ogromnych kolonii owych zwierzętek-che- mików, które wykonywałyby na nasz rachunek pewną pra- cę i to bezpłatnie, dostarczając nam bardzo cennych a trudno dostępnych surowców.

Trudno nie wspomnieć tu jeszcze o bogactwach mórz za- wartych w żyłach naftowych, eksploatowanych przez czło- wieka. Olbrzymie wieże wy- kłuwające w Zatoce Meksy- kańskiej, na Morzu Kaspijs- kim, w Zatoce Perskiej, czy wreszcie w wybrzeży Wenezu- eli są aż nadto widomym do- wodem, że kryje się w głębi- nach oceanów. Niedawno na- deszły wiadomości, że pewne wielkie przedsiębiorstwo za- brało się na bałtyckich wybrze- żach Finlandii do drażenia dna morskiego w celu wydobywa- nia rudy żelaza.

Niedawnie wydają się czasy, gdy człowiek odkryje dalsze i- większe jeszcze bogactwa u- kryte w oceanach. Mamy już łodzie głębinowe — batyska- fy, najrozmaitsze czułe przy- rządy oraz aparaty dla telewi- zji podmorskiej, które umoż- liwiają już docieranie do naj- więcej ukrytych głębin i ta- jemnic mórz. A pamiętajmy, że stoimy dopiero u początków wielkiej ofensywy mózgów ludzkich na podbój głębin morskich.

M. J.

Pamiętniki Jana Chryzostoma

Prof. Uniwersytetu im. A. Mi- ckieвича w Poznaniu, dr Roman Pollak przygotował do druku ca- łość arcydzieła „Pamiętni- ków” Jana Chryzostoma z Gosa- wie Paska. Do tego czasu miłoś- ni wiele wydań, ale skróconych, opracowanych dla szerszego od- biory. Pierwsze pełne wydanie ukazało się w roku 1856 o nakła- dzie... 250 egzemplarzy, za stara- niem Ed. Raczyńskiego, a więc równo przed 120 laty.

Nie miejsce tu na analizę dzieła Paskowego. Zachowane kartki w Bibliotece Narodowej zawierają wspomnienia od roku 1856, czyli sprzed 300 laty. Ze Paskiem umie- o powiadać, nie trzeba dowodzić. Wielu literatów czerpało z jego wspomnień wzory dla swoich po-

wieści historycznych. Zaznaczyć należy, że czytelnik nie obna- miony z łaciną i niecierpliwy mo- że się zniechęcić z powodu „języ- kowych” przeszkód. A no — tak pisze Jan Pasek, jak mówiła szlach- ta za jego czasów. Trudność po- większyło jeszcze samo wydawnic- two (PIW), które objaśnienia roz- dzieliło na dwie grupy. Jedną — obejmującą tłumaczenia łacińskie i komentarz rzeczowy na końcu każ- dej strony ułatwiłyby znacznie pe- ni na zrozumienie tekstu czytelniko- wi zbyt odległemu od czasów Pa- skowych.

STARE i NOWE

W tym starym gruchocie drze- mie 120 koni mechanicznych. Na- dawnych wyścigach osiągał kie- rowcy do 120 kilometrów na go- dzinę, o ile... pomocnik potrafił „wydusić” z motoru owe 100 PS. Miał bowiem pod swoją opieką chłodzenie, oliwienie oraz regula- cję dopływu paliwa i tak dalej. Wszystko działało się w 1906 roku.

...oto najnowszy model samo- chodu wyścigowego na torze „Avus” pod Berlinem. Osiągnięta szybkość przeciętna 200 ki- lometrów na godzinę.

CO KTO LUBI?

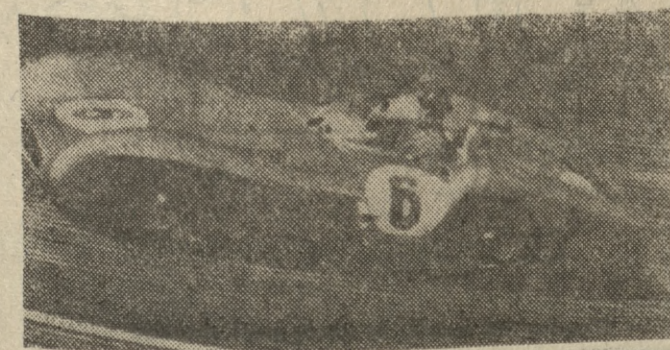
Dwie okrzykujące „wielkości” amerykańskiego filmu spotyka- ją się w Nowym Jorku.

„Wypładasz czarującą!” — mówi jedna.

„Ty także, kochanie!” — od- wazajemnia się druga. — A, ja- ki cudny naszynik! Z pewno- ścią masz bogatego przyjaciela, co?”

„O, tak, u niego czuć pienią- dze.”

„To musi być cudowne, mój ulubiony zapach!”





— Ja bardzo przepraszam... Choć nie byłem zaproszony, lecz muszę powiedzieć, że zupa jest okropna.

— O co ci chodzi? Zaprosiliśmy cię na wesele i powinieneś się cieszyć, że to jest akurat twoje własne!



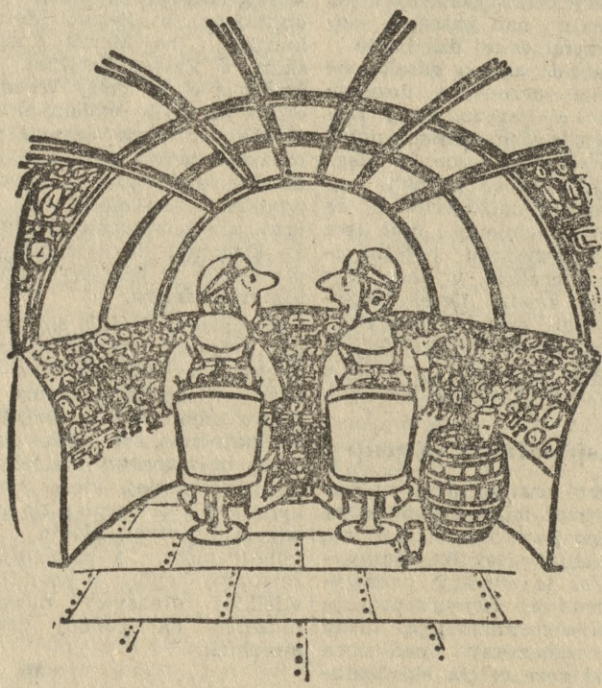
— Wasza ciotunia zaprosiła się na trzy tygodnie, żebyście się w zimie nie czuli tacy sami.



— Proszę wybaczyć, ale doprawdy we śnie wygląda pan bardziej zachęcająco.

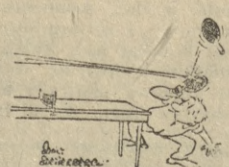
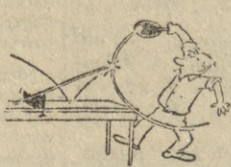
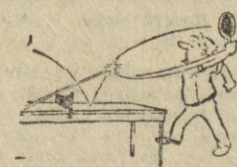


— Już ci trzy razy mówiłem, że jej nie zapraszałem!



— Lećmy trochę niżej, bo ciśnienie na piwie opada...

— Znow się pomyliłaś, kochanie. JA jestem twoim rzeźm!



Bez słów

Jesteśmy grupą poetów-awangardystów. Grupa nasza pragnie nawiązać do najnowszych zdobyczy poezji światowej i na tej podstawie budować program poezji społecznej. W związku z tym ogłaszamy tezy i wytyczne, jakimi kierujemy się w naszej twórczości.

1. Wynalazek druku (Gutenberg) zrewolucjonizował poglądy o poezji, gdyż spowodował zbędność uciążliwego przepisywania manuskryptów. Techniczny ów czynnik zaważył na rozwoju poezji.

2. Grupie chodzi o analizowanie osiągnięć najnowszej po-

ezji przez całkowite pokrzyżowanie jej różnych kierunków.

3. Przechodzimy do najważniejszego punktu: 2B—R uważa za możliwe stworzenie poezji surrealistycznej na podstawie zdobywania jak największej ilości pieniędzy i rozgłosu w skali nie tylko krajowej.

Jak nasz program zostanie przyjęty?

Zachęć mamy mało. Jedynie red. Janusz Likowski poparł nasze rewolucyjne poglądy, drukując niniejszy manifest.

2B—R postuluje zerwanie z represjonizmem i zdrowym rozsądkiem, realizmem oraz wyjście z poezji na ulice. Grupa szuka (narodowej) formy w poezji. Jeżeli grupa dotąd jej nie znalazła, nie stoi na przeszkodzie. Pozostaje więc niejedno do odrobienia z naszej strony. A ze strony środowiska, publiczności, krytyki, władz? Czy oni wszyscy rozumieją, że mają przed sobą awangardę polskiej poezji czy wręcz odwrotnie?

Żądamy udostępnienia nam łamów wszystkich gazet poznańskich. Chcemy wypełnić wszystkie strony czasopism. Ale i to jest mało. Wyjdziemy na ulice. Naprzeciw. Całe fronty domów będą pokryte naszymi utworami.

Będziemy pisać na murach, na płotach i gdzie indziej. Lud łaknie prawdziwej poezji.

A my — my ją mu udostępnimy! Oto próbka naszej twórczości:

SYNTEZA

Trzy razy księżyc odmienił się złoty
słuchaj dziewczeczko ona nie
umieram z żalu usycham z tęsknoty
bez serc bez ducha

MAJACZENIE

?!?!? Wiraż z ziemniaczanych klusek
i ta aspiryna aspiryna
cholera
na rzece płynie autobus
i życie w głębi zamiera

ABSTRAKCJA

Polip z nudy
goli wody
ośmiornica
się zachwycła
stumetrowa
pieje krowa
dętwa gadka, dętwa mowa

KOMPOZYCJA

Chrzaszcz brzmi w trzcinie
pluskwa śpiewa
chrabąszcz gra na klawesynie
przytupują chwacko drzewa

DYSONANSE

Przyszł ksylofon do fryzjera
ra po mlecznej drodze szedł
właśnie pochód

*) Banialuka, bufonada minus realizm.

dla czego pan mi paltro odbiera
proszę mi podać 5 kg grochu

EKSPLOZJA

Brzdęk trrrrach
ach ach
bum bum dum dum
gin i rum
strach trach
ach ach ach
przepraszam czy tedy można
dość do nieba?

METAFORA

Usta jak karburator
szyja jak sprzęgło
a w głowie za to zator
widocznie coś mi pękło

Jak na pierwszy raz — wystarczy. Nie chcemy obciążać naszych Czytelników i Przyszłych Wyznawców zbyt dużą porcją wzruszeń i przeżyć artystycznych. Oszczędzajcie się! Zachowajcie siły na później. Nie wiadomo, co Was jeszcze czeka — piszemy bowiem 136 wierszy dziennie!!

A wszystkich chętnych i nie chętnych nowemu kierunkowi 2B—R zapraszamy na publiczną dyskusję, której dokładny termin znajdziecie*) w kalendarzu „Orbisu“ na rok 1956.

Miejsca wyłącznie stojące.

*) Jeśli nie znajdziecie — dyskusja się nie odbędzie.



— To były czasy!



— Bokser odziedzicza miliony, listonosz poślubia babkę, a kominiarz morduje tancerkę. No, a teraz daj mi kolację, bo spieszę się na posiedzenie.

„Uilenspiegel“ Amsterdam



— Wszyscy mi mówią, że muszę nosić okulary.